

Stefan WILKANOWICZ

CHRZEŚCIJAŃSTWO U PROGU TRZECIEGO TYSIĄCLECIA Zagrożenia – orientacje – zadania

Naszej cywilizacji potrzebny jest więc zastrzyk ducha rodzinnego – to znaczy poczucia współodpowiedzialności i solidarności, a także traktowanie każdego człowieka na miarę jego osobowej godności, nie zaś jako wartościowego z racji wykonywania pewnej pracy czy pełnienia określonej funkcji.

„Przepraszamy i prosimy o przebaczenie! Chwaląc Boga, iż w swojej miłości miłosiernej wzbudził w Kościele przedziwne żniwo świętości, żarliwości misyjnej, całkowitego oddania się Chrystusowi i bliźniemu, nie możemy nie przyznać niewierności Ewangelii, w którą popadli niektórzy nasi bracia, zwłaszcza w drugim tysiącleciu. [...] wyznajemy naszą odpowiedzialność jako chrześcijan za zło dnia dzisiejszego” – powiedział Jan Paweł II w homilii wygłoszonej w pierwszą niedzielę Wielkiego Postu. Słowa te są skierowane do każdego z nas.

Historia biblijna i historia chrześcijaństwa pokazują aż nadto wyraźnie owe przeplatanie się wierności i niewierności obecne w życiu każdego człowieka, a także w dziejach wszystkich wspólnot chrześcijańskich. Każdy z nas bywa niewierny Bogu, wyrządza krzywdę konkretnemu człowiekowi i rani duchową wspólnotę rodziny ludzkiej. Czasem pojedyncze czyny wielu ludzi układają się w ciągi niemal niezauważalnie deformujące i zatruwające życie wspólnot chrześcijańskich.

Równocześnie jednak pogłębia się rozumienie chrześcijaństwa, rośnie wrażliwość moralna. Nieraz zadajemy sobie pytania: Jak chrześcijanie mogli uznawać niewolnictwo? Jak mogli nawracać mieczem? Jak można było akceptować zasadę „cuius regio, eius religio”? Jak chrześcijanie mogli uczestniczyć w jawnie zbrodniczych wojnach? W każdym z tych przypadków łatwo można wskazać czynniki, które do nich prowadziły, i je usprawiedliwiały. Jednak dla ludzi nie podlegających oddziaływaniu tych czynników – na przykład dla nas – ich fundamentalna absurdalność jest oczywista. Stąd przeszłość podlega surowemu osądowi z punktu widzenia naszej dzisiejszej wiedzy i moralnej wrażliwości, choć nie zawsze prowadzi to do potępienia konkretnych ludzi, poddanych ciśnieniu ówczesnych teorii i praktyk, wówczas uznawanych za odwieczne i naturalne.

Zacznijmy więc od obciążeń przeszłości i rysujących się zagrożeń. Dostrzegam ich kilka: tradycyjne, odnawiające się i nowe.

UPOLITYCZNIENIE I ETATYZACJA

Pod tymi dwoma pojęciami rozumiem niezdrowe stosunki panujące między ugrupowaniami politycznymi, państwem i Kościołem. Najczęściej chodzi tu o różne sposoby poddawania Kościoła wpływowi państwa, przybierające czasami absurdalną formę prawną, prowadzącą do sytuacji, w której głową Kościoła może być niewierzący monarcha. Druga skrajność to państwo, którego władcą jest duchowny hierarcha, stanowiący prawa i skazujący obywateli za ich przekraczanie (jako pasterz czy jako monarcha?). Jak się to ma do postawy Chrystusa, który kategorycznie odrzucił narzucaną Mu rolę politycznego mesjasza?

Myślę także, że postępek króla Jeroboama, który ustanowił dla swych poddanych kult złotych cielców, aby ich odciągnąć od składania ofiar w świątyni jerozolimskiej (co poddawało ich wpływowi jego rywala, króla judzkiego), jest klasycznym przykładem instrumentalizacji religii, poddania jej interesom państwa, dynastii czy konkretnego władcy. Znamy z historii bardzo wiele takich przykładów. Król Jeroboam zdradził Boga Izraela, ale przecież nieraz zdarzało się, że z podobnych powodów różni władcy pogańscy przyjmowali Go i nawracali się na chrześcijaństwo. Oczywiście trudno z całą pewnością twierdzić, że ich chrześcijańska opcja była czysto politycznego pochodzenia, ale wiele okoliczności często na to wskazywało.

Pomieszanie religii z polityką może przybierać różne formy i występuje w różnych religiach. Nie tak dawno pewien mułła ogłosił wprost, że każdy, kto popiera sprawującego urząd prezydenta, tym samym wyznaje, że Allah jest Bogiem i oddaje mu cześć.

Oczywiście istnieją sytuacje wyjątkowe, kiedy faktyczne pomieszanie porządków czy funkcji jest uzasadnione. Gdy wybucha pożar, ogień gaszą wszyscy, nie tylko strażacy. Czasem kapłani muszą zastępczo pełnić różne funkcje społeczne czy polityczne, jeśli jest to konieczne dla dobra wspólnego. Ale bardzo łatwo przyzwyczaić się do sytuacji wyjątkowych, zwłaszcza gdy łączą się ze sprawowaniem władzy i z przywilejami.

Dziś obie skrajne ewentualności: monarcha głową Kościoła czy hierarcha głową państwa, są w świecie chrześcijańskim (nie dotyczy to świata muzułmańskiego) nieaktualne, lecz problem istnieje nadal, pojawiają się nieporozumienia i konflikty, manipulacje i służalczość. Na margines schodzą zwolennicy bezpośredniego wpływu Kościoła na życie polityczne (zwłaszcza zwolennicy jego angażowania się w partyjną walkę o władzę), pojawia się natomiast niebezpieczeństwo takiego rozdziału Kościoła od państwa, który prowadzi nie tylko do światopoglądowej, ale i aksjologicznej neutralności (obojętności?) państwa. Ogłaszając neutralność wobec wartości wchodzimy w sytuację absurdalną, gdyż jest to z jednej strony niemożliwe, z drugiej zaś samobójcze. Deklarując *désintéressement* wobec wartości wyraźnie określonych i jawnie wyznawanych, faktycznie kierujemy się wartościami – czy antywartościami – niejawnymi bądź

nieuświadomianymi. W praktyce rezygnujemy z jawnych i przemyślanych zasad życia społecznego, co musi prowadzić do relatywizmu i chaosu. Żadne społeczeństwo nie jest w stanie żyć w taki sposób.

Oczywiście w społeczeństwach rzeczywiście pluralistycznych nie jest łatwo doprowadzić do takiej sytuacji, aby wszyscy zgadzali się na pewien zespół zasad. Ale nie wynika z tego, że nie należy się o to starać. Trzeba dobrze rozumieć, że pluralizm nie jest rzeczywistością jednorodną: istnieją różne jego rodzaje. Często miewa charakter relatywistyczny i redukcjonistyczny: w ten sposób kształtują go niektóre prądy intelektualne i niektóre procesy cywilizacyjne. Reakcją na relatywizm i duchową pustkę bywają sekty o zabarwieniu religijnym i nierzadko politycznym, i dlatego możemy także mówić o pluralizmie sekciarskim, o mnożeniu się wzajemnie wykluczających się sekt. Jest to zjawisko zrozumiałe, ale również niebezpieczne.

Tymczasem potrzeba nam pluralizmu „ekumenicznego”. Jest to określenie użyte przez Richarda von Weizsäckera, byłego prezydenta Niemiec, który postulował zarówno docenianie bogactwa różnorodności, jak i konieczność znalezienia wspólnej bazy wartości dla współczesnej Europy. Nie jest to łatwe, ale jest to konieczne, jeśli Europa ma przetrwać i rozwijać się. Wynika z tego, że ekumenizm w sensie ścisłym: chrześcijański – i szerszym: religijny – jest bardzo potrzebny współczesnej cywilizacji. Ale niezbędny jest też swoisty ekumenizm rozszerzony, czyli dialog i współpraca wszystkich tych, którzy mają wycucie istnienia transcendencji i moralną wrażliwość (dla mnie są to ci, którzy mają „wiarę podstawową” – wiarę w sens świata i człowieka oraz w znaczenie bezinteresownej dobroci). Ich sojusz jest niezwykle potrzebny Europie i całemu współczesnemu światu.

Zagrożeniem jest też dzisiaj rezygnacja chrześcijaństwa z części swoich obowiązków wobec ludzkości. Należy do nich obowiązek budowania kultury politycznej czy demokratycznej, nieangażowanie się w walki polityczne, ale budowanie kultury życia społecznego i politycznego.

Czym jest ta kultura? Składają się na nią postawy, wiedza i umiejętności. Nie może ona istnieć bez nastawienia na dobro wspólne i bez uznania zasady pomocniczości. Wymaga także podstawowej wiedzy o człowieku i o życiu społecznym, o prawach i instytucjach, a także umiejętności oceny ludzi chcących działać publicznie czy już działających. I wreszcie wymaga ona umiejętności empatii, wczuwania się w położenie innych, zdolności do dialogu i współpracy oraz respektowania określonych zasad prowadzenia walki i rozwiązywania konfliktów.

W Polsce rozpoczęliśmy budowę demokratycznego społeczeństwa i państwa przy ogromnych brakach w dziedzinie kultury politycznej. Co gorsza, zamiast głęboko ewangelizować środowiska polityczne (czyli budować między innymi kulturę polityczną), nierzadko postępowaliśmy odwrotnie: wprowadzaliśmy politykę do duszpasterstwa. Cóż powiedzieć o księdzu, który podczas

pierwszokomunijnej Mszy świętej wygłasza kazanie atakujące projekt konstytucji? Nie wystarczy wzruszyć ramionami i powiedzieć: zwariował, trzeba się koniecznie zastanowić nad jego zachowaniem. Jak do takiej aberracji doszedł?

NACJONALIZACJA

Wiadomo, że w toku dziejów chrześcijaństwo kształtowało zastane kultury: niektóre ich elementy eliminowało lub usuwało w cień, inne promowało, oraz – co najważniejsze – przynosiło nowe pojmowanie Boga i człowieka, nowe idee i obyczaje. Ale wcielając się w różne kultury i nawet gruntownie je przekształcając, przejmowało także niektóre ich elementy, zasadniczo z nim niesprzeczne. Ale czy tylko te niesprzeczne? Doświadczenie pokazuje, że odpowiedź na to pytanie nie jest jednoznaczna.

Religia zawsze jest narażona nie tylko na „etatyzację”, ale także na „nacionalizację”, na wtopienie w narodową ideologię czy mitologię. A jeżeli ideologia ta nosi cechy politycznego darwinizmu, prowadzi to do głębokiego zatrucia chrześcijaństwa, do jego zasadniczej deprawacji. W niektórych przypadkach można wręcz mówić o transformacji uniwersalnej religii miłości w jakąś ksenofobiczną religię plemienną.

Jak się przed tym ustrzec, jak z tego wychodzić? Chyba przez pogłębienie rozumienia patriotyzmu, miłości Ojczyzny. Nie negując wartości przywiązania do stron ojczystych, do małych i dużych ojczyzn, sądzę, że trzeba zwrócić uwagę na coś jeszcze innego. Dla mnie patriotyzm sprowadza się do trzech słów: wdzięczność, odpowiedzialność, solidarność.

Najpierw wdzięczność wobec przodków za to, co nam przekazali. Ale i poczucie moralnej odpowiedzialności za to, co zrobili złego. Obowiązek choćby symbolicznego naprawienia krzywd, które komuś wyrządzili, choćby ich wyjawienia i przeproszenia za nie. Tego domaga się solidarność między pokoleniami.

Oczywiście ta solidarność obowiązuje jeszcze bardziej wobec naszych następców, których musimy wyposażyć nie tylko w dobra materialne, ale i w odpowiednią wiedzę oraz w wartości duchowe. Łatwo zgrzeszyć przeciwko jeszcze nie narodzonym, nie znanym prawnikom – wystarczy krótkowzroczność i lekkomyślność, nie trzeba nawet wielkiego egoizmu.

Solidarności domagają się też oczywiście członkowie naszego pokolenia. Najpierw wewnątrznarodowej, kulturowej czy obywatelskiej wspólnoty. I to solidarności obejmującej wszystkich, będącej wyrazem powszechnej współodpowiedzialności. Prawdziwy, głęboki patriotyzm wymaga przyjęcia dwóch zasad: w naszej Ojczyźnie nie powinno być nikogo pozostawionego własnemu losowi ani też nikogo bezczynnego, kto nie wnosi niczego w życie społeczeństwa.

W jaki sposób można zasady te realizować, jaki dać im wyraz w edukacji, gospodarce, prawie i w polityce – to przedmiot osobnych rozważań. Chociaż zasady te wydają się proste i przede wszystkim chrześcijańskie, wobec obecnych teorii i obyczajów są raczej rewolucyjne. Ich realizacja wymaga niemal zmiany obecnego paradygmatu cywilizacji oraz odnowy pojęcia pracy i określenia jej nowych form. Stąd jest to zadanie przynajmniej na pokolenie, choć można i trzeba już zaczynać jego realizację, zwłaszcza w środowiskach lokalnych.

W dzisiejszym świecie nie do pomyślenia są państwa-monady, ponieważ sieć współzależności rozwija się błyskawicznie i obejmuje cały glob. Skuteczna troska o własny naród czy o własne państwo wymaga dbałości o szersze dobro wspólne i możliwości jego realizacji. Bez sąsiedzkiej, regionalnej, kontynentalnej czy globalnej współpracy (obejmującej również konkurencję) ryzykuje się marginalizację i regres. Dobry Polak musi zatem starać się być jednocześnie dobrym Europejczykiem.

Zasady powszechnej współodpowiedzialności i solidarności dają się uzasadnić na gruncie rozumu naturalnego, a zapewne także na gruncie pragmatycznego rozsądku. Chrześcijaństwo natomiast nadaje im niezwykłą głębię i zasięg, ponieważ wiąże ludzi w duchową wspólnotę, w ramach której dokonuje się przepływ duchowych bogactw. Nikt nie jest samotną wyspą. Jego modlitwy i codzienne czynności wpływają na tych, z którymi być może nie ma żadnego bezpośredniego kontaktu. I odwrotnie.

Nasze czasy domagają się cywilizacyjnej mutacji: tworząca się sytuacja powszechnej współzależności wymaga cywilizacji powszechnej współodpowiedzialności. Wymaga też zatem odpowiednich postaw i instytucji, które tworzyć trzeba w skali globalnej, a ożywiać w skali lokalnej. Trzeba też nauczyć się przechodzić od myślenia statyczno-modelowego do myślenia dynamiczno-sieciowego.

LAICYZACJA I MATERIALIZM

Znaczna część ludzi ochrzczonych i wierzących, nawet praktykujących, podlega laicyzacji niejako w „naturalny” sposób. Dzieje się to z dwóch powodów: wskutek oddziaływania zlaicyzowanej kultury oraz braku powszechnej formacji chrześcijańskiej ludzi dorosłych.

Jesteśmy poddani ciśnieniu różnych wpływów kulturowych. Upadek systemu totalitarnego nie wyeliminował automatycznie jego półwiekowego oddziaływania na świadomość ludzi. Zakaził nas – w mniejszym lub w większym stopniu – swoistą manichejską wizją świata, w której obowiązują dychotomiczne podziały oraz istnieje potrzeba walki i potrzeba posiadania wroga, którego obarcza się odpowiedzialnością za wszelkie zło. Postawy takie uzyskują wspar-

cie ze strony stale obecnego w naszej kulturze szlacheckiego warcholstwa oraz chłopskiej pazerności. Stąd zapewne bierze się tak wielka kłótność i zajadłość w życiu publicznym w naszym kraju.

Równocześnie oddziałują na nas pewne prądy kultury zachodniej, związane z erozją chrześcijańskiej koncepcji człowieka oraz z przekształcaniem się gospodarki rynkowej w swoisty światopogląd (zazwyczaj nie uświadamiany). Stąd pochodzi zjawisko, które socjologowie nazywają „spienieniem świadomości”. Duch kapitalistycznej konkurencji nierzadko przenika nawet do instytucji mających na celu ewangelizację.

Równocześnie świadomość jest zatruwana przez zło, co dzieje się głównie za sprawą środków społecznego przekazu. Te bowiem wpadają w spiralę „konkurencji degradującej”, prześcigają się w zdobywaniu czytelników czy widzów pokazywaniem zła jako sensacji. Zafalszowują tym samym obraz świata, a równocześnie banalizują zło, przyzwyczajają do niego, a niekiedy budzą nawet fascynację i chęć naśladownictwa. A także odbierają nadzieję. Dzisiejsze środki przekazu propagują także indywidualizm i rewindykacyjny sposób myślenia (żądanie praw bez obowiązków), jak również swoisty „konsumpcjonizm pogłębiany”, nastawienie na doznawanie przeżyć, nie zaś na rozwój.

Współcześni, dosyć „hybrydalni” chrześcijanie nie umieją sobie z tymi wpływami poradzić, ponieważ brak im odpowiedniej formacji: ich wykształcenie religijne zatrzymało się na poziomie dzieciennym lub co najwyżej młodzieżowym. Nawet jeśli połowa z nich praktykuje mniej więcej regularnie, to niedzielne kazania – z różnych powodów – nie dają systematycznej formacji. Można na nią liczyć chyba tylko przez uczestnictwo w niektórych organizacjach i ruchach wewnątrzkościelnych. Laicyzacja jest zatem nieuchronna, a jej polska swoistość polega nie na utracie wiary, lecz na separacji wiary i życia. Kult nadal się utrzymuje, ale jego oddziaływanie na życie – we wszystkich jego wymiarach – jest problematyczne. Polak dość chętnie uznaje, że życie ma różne sektory, które są względem siebie autonomiczne. Oczywiście nie głosi tego – teoria nie jest mu potrzebna, ale w praktyce tak się zachowuje, jakby taką właśnie teorię wyznawał.

Na Zachodzie natomiast mamy do czynienia ze swoistą laicyzacją Kościoła, zmienia się bowiem praktyczne jego pojmowanie. Przeciętny poziom wiedzy religijnej jest także niski (choć jest tam wielu świeckich teologów), szerzą się natomiast postawy rewindykacyjne, związane z jednej strony z procesami (koniecznymi!) aktywizacji laikatu, z drugiej zaś – z upowszechnianiem się demokratycznych przyzwyczajęń. Stąd tendencja do decydowania większością głosów nawet w sprawach wymagających wysokich kompetencji intelektualnych i duchowych. Niepostrzeżenie, nieświadomie zaczyna się pojmować Kościół na kształt jakiegoś Stowarzyszenia im. Jezusa z Nazaretu, które odwołuje się wprawdzie do nauki Założyciela, ale w sposób wybiórczy i z dużą swobodą interpretacyjną. Od zewnątrz zaś Kościół postrzegany jest jako jedna z grup

nacisku, która przede wszystkim broni swoich ideologicznych i materialnych interesów.

Tymi drogami postępuje laicyzacja Kościoła, w praktyce zmierzająca do jego dechrystianizacji.

DECHRYSYANIZACJA

Przed pięćdziesięciu laty w trakcie rekolekcji usłyszałem następujące zdanie: „Chrześcijanin to taki człowiek, który się czuje osobiście związany z Chrystusem”. Uważam je za najważniejsze i dla siebie, i dla Kościoła, i dla całego chrześcijaństwa. Bez takich chrześcijan nie ma chrześcijaństwa, nie ma Kościoła. A ilu ich jest? Tylko Chrystus to wie. Ale po ludzku sądząc można przypuszczać, że wielu chrześcijan traktuje swój związek z Chrystusem bardziej formalnie niż egzystencjalnie. Wydaje się również, że cała formacja chrześcijan nastawiona jest bardziej na zachowywanie przykazań niż na naśladowanie Chrystusa, a położenie akcentu na przykazania łatwo prowadzi do formalizmu odrywającego się od teologicznych i duchowych fundamentów.

Tymczasem istotą związku z Chrystusem jest właśnie naśladowanie Go, udział w Jego misji. Wynika to po prostu z przyjęcia chrztu i wcale nie jest wyrazem jakiegoś szczególnego powołania czy udziałem jedynie „wybranych dusz”. Oczywiście wymóg naśladowania Chrystusa może napawać lękiem. Trzeba jednak dobrze rozumieć, czym jest to naśladowanie i ten udział. Teologowie mówią, że jest to udział w *tria munera*: w Jego misji kapłańskiej, prorockiej i królewsko-pasterskiej. Może to wydawać się jeszcze trudniejsze, ale chodzi tu po prostu o to, że każdy chrześcijanin powinien się modlić i łączyć swe ofiary, swe cierpienia, z cierpieniami Chrystusa, że powinien innym nieść Dobrą Nowinę o najwyższym szczęściu, jakiego może dostąpić człowiek, o drogach jego osiągnięcia, oraz że powinien czynić dobro i troszczyć się o materialne i duchowe potrzeby innych ludzi.

Jedni będą to robili lepiej, inni gorzej, jedni na tej drodze zajdą dalej, inni bliżej, ale jest to ta sama droga dla wszystkich chrześcijan. I wszyscy powinni być do niej przygotowywani.

Myślę, że mamy dziś do czynienia z procesami dechrystianizacji wewnątrz Kościoła (Kościołów) polegającymi na niezauważalnym odchodzeniu od istoty chrześcijaństwa, na praktycznej marginalizacji związku chrześcijan z Chrystusem. Wiem, że słowa te mogą budzić zdumienie i oburzenie, że można przytaczać przykłady świadczące o zjawisku wręcz odwrotnym (choćby rozwój ruchów odnowy), ale mimo to nie mogę się pozbyć obaw. Bo znam z własnego doświadczenia, jak łatwo wpaść w rutynę i formalizm – nawet starając się o odnowę. Stąd za najważniejszą uważam refleksję nad sposobami rechrystianizacji chrześcijan, a zatem gruntowne przemyślenie całego systemu formacji chrześcijańskiej, od małych dzieci poczynając.

Konieczne będzie nie tylko pogłębienie i rozwinięcie etyki, ale i upowszechnienie pojęcia duchowości (na przykład duchowości poszczególnych zawodów) oraz pojęcia osobistego powołania, nie zaś ograniczania go do powołań specjalnych: kapłańskich czy zakonnych. I sądzę, że da się to uczynić już na poziomie przedszkolaków. Można także wprowadzać ich w początki „modlitwy serca”, praktykowanej przez ojców pustyni i wschodnich mnichów.

Podstawową lekturą chrześcijanina – poza Pismem świętym – powinien być życiorys Chrystusa, uzupełniony o życiorysy tych, którzy starali się Go naśladować: postaci kanonizowanych i niekanonizowanych, należących do różnych Kościołów i wspólnot chrześcijańskich, a także stanów i zawodów, pochodzących z różnych krajów, żyjących w różnych czasach.

EKUMENIZM

Wyobrażam sobie taką ekumeniczną serię wydawniczą w różnych wariantach, na różnych poziomach, stale uzupełnianą o nowe postacie uczniów Jezusa – serię „Jezus i Jego uczniowie”. Seria ta wyrażałaby ten rodzaj ekumenizmu, który jest najbardziej potrzebny i najmniej kontrowersyjny: ekumenizm nastawiony na dzielenie się doświadczeniem życia chrześcijańskiego, na pomaganie sobie nawzajem w dążeniu do Chrystusa. Dla rozwoju tego rodzaju ekumenizmu nie są potrzebne uzgodnienia teologiczne (najwyżej pewne minimum) ani specjalne porozumienia hierarchów – wystarczy ich ogólna zgoda na tego typu inicjatywy. A dotyczą one wszystkich, do wszystkich bowiem odnosi się pytanie: jak być dobrym chrześcijaninem? (czy po prostu: jak być chrześcijaninem?)

Formy tego ekumenizmu mogą być rozmaite: od modlitwy i dyskusji w małych grupach, do ankiet o światowym zasięgu oraz internetowych list dyskusyjnych. Marzy mi się taka ankieta ogłoszona przez wiele pism na wszystkich kontynentach, a zawierająca podstawowe pytania: Co to znaczy być chrześcijaninem? Jak nim dzisiaj być w różnych sytuacjach życiowych, wykonując różne zawody? Jak stawać się chrześcijaninem? Jacy chrześcijanie mogą być dla mnie wzorem? Marzenie jest wielkie, ale może dałoby się zacząć od czegoś skromniejszego, w mniejszej skali, na przykład od publikacji wyboru wypowiedzi z różnych dawniej przeprowadzonych w Polsce ankiet (np. ankiety „Kim jest dla mnie Jezus Chrystus?”) i za granicą.

Ekumenizm jest konieczny także z innych powodów. Najpierw dlatego, że obciążone wrogością podziały są obelgą wobec Chrystusa. Następnie potrzebny jest jako działanie oczyszczające Kościoły i wspólnoty chrześcijańskie, pozwalające łatwiej dostrzec własne słabości i braki, jeżeli nie deformacje chrześcijaństwa. I wreszcie współdziałanie Kościołów jest konieczne dla współczesnej cywilizacji, której bardzo brakuje wymiaru transcendencji i kontemplacji, a równocześnie głębszego rozumienia człowieka i jego związków z innymi.

Cywilizacja ta wchodzi w kryzys antropologiczny (i jednocześnie strukturalny) i dlatego bardzo potrzebuje duchowego przebudzenia. Może je spowodować chrześcijaństwo (a także inne religie), ale chrześcijaństwo oczyszczone i zdolne do współpracy, zwłaszcza na płaszczyźnie kultury, edukacji i społecznej solidarności.

Chrześcijaństwu jest więc potrzebny głęboki i konsekwentny chrystocentryzm, a jednocześnie ekumenizm. Prawdziwy chrystocentryzm prowadzi do ekumenizmu, skuteczny ekumenizm wymaga zaś chrystocentryzmu.

CZEGO OCZEKUJĘ OD KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO?

Oczekuję, aby Kościół był bardziej chrześcijański, bardziej katolicki i bardziej kościelny. Bardziej chrześcijański to znaczy bardziej chrystocentryczny. Bardziej katolicki to znaczy bardziej powszechny, bardziej troszczący się o całą rodzinę ludzką, a zwłaszcza o ubogich, prześladowanych, cierpiących. Oczekuję, że „opcja preferencyjna na rzecz ubogich” stanie się zwyczajną rzeczywistością na wszelkich poziomach i w różnych okolicznościach, o której nie ma już potrzeby mówić, bo jest oczywistością, normalną praktyką.

Ale oznacza to również podjęcie poważnej pracy intelektualnej w celu znalezienia rozwiązań podstawowych problemów dzisiejszej ludzkości: bezrobocia i wykluczenia z życia społecznego. A także szukanie nowych metod i struktur dla międzynarodowej współpracy, dla regulowania procesów globalizacyjnych w imię dobra wspólnego ludzkości, przy jednoczesnej odbudowie lub budowie solidarności w społecznościach lokalnych.

Oczekuję, że Kościół stanie się bardziej kościelny, to znaczy bardziej wspólnotowy, a właściwie bardziej rodzinny. W Afryce niektóre episkopaty właśnie tę „rodzinność” uczyniły osią duszpasterskich programów, traktując Kościół jako Rodzinę Bożą. Oczywiście jest to stosunkowo łatwiejsze do osiągnięcia w Afryce, gdzie cała kultura nosi charakter rodzinny. Ale tym bardziej jest to potrzebne Europie, silnie naznaczonej indywidualizmem oraz duchem powszechnej i obowiązkowej konkurencji, instrumentalnym (choć przesłoniętym prawami człowieka) traktowaniem ludzi.

Naszej cywilizacji potrzebny jest więc zastrzyk ducha rodzinnego – to znaczy poczucia współodpowiedzialności i solidarności, a także traktowanie każdego człowieka na miarę jego osobowej godności, nie zaś jako wartościowego z racji wykonywania pewnej pracy czy pełnienia określonej funkcji. Ten zastrzyk potrzebny jest zresztą samym rodzinom, które doświadczają wielostronnego kryzysu i powinny zrozumieć jego istotę.

Kościół może pomóc w szerzeniu ducha rodzinnego w rodzinach pod warunkiem, że sam stanie się bardziej rodzinny, a mniej „stadno-urzędowy”. Parafie powinny zatem stawać się rzeczywistymi wspólnotami wspólnot. Jest to

możliwe, chociaż wymaga systematycznej i długotrwałej pracy. Można się tu na przykład oprzeć na całościowym programie wypracowanym przez ruch „Movimento per il mondo migliore”. Zakłada on dotarcie do wszystkich mieszkańców parafii, budzenie ich aktywności i budowanie więzi między nimi. Sprawdzony został w różnych krajach, także w Polsce. Ma tylko jedną „wadę”: zaplanowany jest na okres życia przynajmniej jednego pokolenia. A to z kolei wymaga dużej stałości ekipy duszpasterskiej, systematycznej i z wyobraźnią prowadzonej pracy. Nie można ciągle zaczynać od nowa, wahać się między rutyną a doraźnymi, izolowanymi pomysłami.

Program taki powinien być więc realizowany przez cały Kościół lokalny i przez wszystkie wspólnoty zakonne w danym kraju; wszyscy duszpasterze powinni poznać go teoretycznie i praktycznie już w seminarium duchownym. Powinien być także podjęty przez wszystkie organizacje i ruchy, dotąd raczej słabo związane z parafiami. Ich doświadczenia formacyjne i ewangelizacyjne są niedostatecznie wykorzystywane – żeby nie powiedzieć: marnowane – w życiu całego Kościoła. A przecież są tak potrzebne! Organizacje te nieraz żyją jakby na skraju powszechnych struktur kościelnych i niekiedy zagrożone są marginalizacją i swoistym duchem „getta”, nadającym im pozory sekciarstwa. Nowych możliwości może tu dostarczyć Akcja Katolicka, z natury rzeczy związana z parafiami i zapewniająca pewną ciągłość pracy. Jeśli przyjmie w całości taki czy podobny program, może rzeczywiście odegrać dużą rolę w Kościele.

Ile razy myślę o parafiach przyszłości, tyle razy przychodzi mi na myśl Basilica di Santa Maria in Trastevere, do której jestem przywiązany nie tylko ze względu na jej piękno i nastrój czy na osobę proboszcza i wspólnotę Sant'Egidio, ale także z powodu charakteru odprawianej tam niedzielnej sumy. Bo jest to rzeczywiście eucharystyczne zgromadzenie wspólnoty wspólnot. Istniejące w parafii grupy przygotowują je i współrealizują. Każda z nich przygotowuje pieśni i modlitwy, a w ramach ogłoszeń parafialnych wszystkie grupy mówią o tym, co robiły w poprzednim tygodniu, co będą robiły w następnym i do jakich działań zapraszają. Nawet nie wszystko rozumiejąc czułem się u siebie, we wspólnocie. I myślę, że gdyby jedna trzecia wszystkich parafii w ten sposób pracowała, to już żylibyśmy poniekąd w innym Kościele. Parafie takie nawet niechcący oddziałują na szerszą społeczność, pomagają budować społeczeństwo ludzi życzliwych i solidarnych. A powinny oczywiście robić to świadomie.

Chrześcijaństwo zatrute czy zdeformowane przez polityzację, nacjonalizację, laicyzację czy dechrystianizację nie ma przyszłości. Przed nami jest chrześcijaństwo głęboko chrystocentryczne i ekumeniczne. Jako konieczność.